

Mirosława Szott
Uniwersytet Zielonogórski
Czesław Sobkowiak
Zawada

PODRÓŻ DO ŹRÓDEŁ Z CZESŁAWEM SOBKOWIAKIEM (NA DWA GŁOSY)

„Światło jest przewodnikiem”

Przesłuchuję nagrania, oglądam zdjęcia z Jaromierza. Uwagę przyciąga fotografia, która nie wyszła. Zrobiona jeszcze zanim wjechaliśmy do wioski. To taki wstęp, a może też zapowiedź. W górnej części zdjęcia na tle drzew widać rozszczepione światło w kształcie idealnego sześciokąta. Piękny błąd. Czasami pytam Czesława, co zostało w nim po naszej wyprawie, co odkrył w sobie po powrocie. Napisał wiersz. Wcałe niedługi, ale otwierający wiele wewnętrznych furtek. Mam jedną strofę rękopisu, cenną dla mnie. Pamiętam, zaczęło się od tego, że po wręczeniu Lubuskich Wawrzynów (luty 2015 r.), na bankiecie, Czesław zapytał mnie, czy pojechałabym na wiosnę do Jaromierza. Minęło od tego czasu kilka miesięcy.

W końcu umówiliśmy się na podróż do jego dzieciństwa. Dla mnie i dla Janusza Łastowieckiego mogła to być z założenia zwyczajna wycieczka do zwyczajnej wioski. Bo takich jak ta przecież całkiem wiele w okolicy. Kilka domów, piejące koguty, pola, lasy. Wiadomo jednak, że nic się nie powtarza, nawet zwyczajność. Była to podróż nie tylko fizyczna, szlakiem ustalonym przez dzieciństwo. Było to też doświadczenie wewnętrzne. Zwłaszcza dla Czesława. Miejsce tętniło jego rytmem. Okazało się pretekstem (dosłownie pre-tekstem), wehikułem do przeszłości i jednocześnie lustrem.

Wybraliśmy 21 sierpnia i spotkaliśmy się o godzinie 9.00 przy gmachu Biblioteki im. C. Norwida. Dzień zapowiadał się słonecznie, a nawet niespodziewanie upalnie jak na końcówkę lata. Trwająca kilka tygodni susza doskwierała na polach. Janusz wziął mikrofon, statyw, ja byłam odpowiedzialna za aparat i kanapki. Nadszedł Czesław. Wsiedliśmy.

Do Jaromierza przyjechaliśmy po około godzinie. Mijaliśmy wiele lasów i pól, Czesław znał je dobrze, zwracał uwagę na kukurydzę, oceniał nawet, czy nadaje się już do zbioru. Opowiadał o trociniaku i zawarł w tej opowieści wiele nostalgii, choć czasy były trudne. Przed Jaromierzem skręciliśmy w drogę prowadzącą na mały cmentarz w Kopanicy. Zostało w mojej pamięci kilka obrazów. Oto kilka z nich. Wsiadamy z samochodu. Czesław za wiele nie mówi, ale idziemy po cichu za nim. Wspomina, że jest tu ktoś bardzo bliski:

Tu wydarzyła się historia związana z moim życiem. To tu. Jest napisane Henryk Sobkowiak. Widać daty. Urodzony 6 kwietnia 1947 roku, zmarł 5 maja 1948 roku. W bardzo dużych cierpieniach odszedł, był przeziębiony. Urodził się przede mną. Doszedłem do takiego przekonania, że jego wczesne odejście mogło mieć związek z moimi narodzinami. Urodziłem się w 1950 roku. Pomyślałem, że jego śmierć urodziła moje życie. Rodzice może mieli większą motywację, żeby powołać do istnienia kogoś jeszcze. Zapalimy mu świeczkę. Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie wzrusza. Grób ten ma 68 lat. Nikt go nie likwiduje. To jest znak okolic. Ludzie nie tykają pewnych rzeczy. W miastach jest inaczej.

Jedziemy dalej. Tuż przed Jaromierzem zatrzymujemy się. Tak jakbyśmy chcieli wydłużyć tę chwilę spotkania z miejscem. Niepewni może trochę jak kochankowie, idąc na spotkanie – woleliby rozciągnąć w czasie oczekiwanie. Przy skrzyżowaniu stoi krzyż. Aleja akacyjowa i zagajnik, który stał się lasem. Rozciąga się widok na pola. Stoi krzyż, przy którym żegnano kiedyś umarłych z wioski. Czesław opowiada o śmierci ojca, zwraca nam uwagę na ciszę. Nikogo nie mijamy. Tak jakby wszyscy, którzy mają być, czekali już na nas we wnętrzu wsi. Wchodzę w ten krajobraz po raz pierwszy, Czesław wraca do siebie.

Podjeżdżamy pod sam dom, w którym mieszkał poeta. Teraz są tu już inni właściciele, rozmowa się urywa. Schody cały czas te same, co pięćdziesiąt lat temu. W podwórzu jabłoń jeszcze ponemiecka. Cały czas rodzi. Czesławowi przychodzi na myśl mała dziewczynka, która kiedyś stała przy bramce. Na pustym placu przy domu nie ma już śladu budy, nie ma też kochanego psa. Nowy właściciel nie chce wpuścić nas-innych do przedsiönka. Ale udaje nam się zajrzeć na korytarz, płytki stoją na straży niezmienności. To chyba niełatwe doświadczenie: odwiedzić swój dom i być nierozpoznaną jego częścią, ciałem obcym, które zaburza czasoprzestrzeń.

Idziemy na łąkę. Mijamy krowę, Czesław ją głaszcze. Mnie intrygują dwie białe kozy lub koziołki, nie wiem. Poeta wskazuje ręką miejsce, gdzie palił ognisko. W okolicy jest mnóstwo wierzb płaczących, które wyglądają jak stare kobiety. Czas nic im nie może już zrobić. Sprawdzamy, czy jest woda w kanale. Czesław opowiada, że kiedyś zauważył tu kilka kajaków, w których płynęli młodzi ludzie. Miał wtedy około dziesięciu lat. Ktoś z nich zapytał, co robi. Później domyślił się, że był to Karol Wojtyła. Stoimy chwilę i patrzymy na płynącą wodę. Idziemy dalej przez ściernisko. Kurzy się bardzo. Znowu stajemy w ciszy, w jakimś oku cyklonu. Znajdujemy miejsce w cieniu, rozkładamy koc i rozmawiamy o łące, ludziach, świetle. Dotykamy przez moment jakiejś metafizyki. Hipnotyzujemy miejsce, a ono przyjmuje nasze słowa, emocje, nastraja. Robię kilka zdjęć, żeby utrwalić obraz. Tak naprawdę równie dobrze moglibyśmy nic nie mówić, siedzieć i słuchać. Za kanałem przygląda się nam Jaromierz Stary, niegdyś niemiecka strona tutejszego świata. Czesław wspomina też przeprowadzkę do Zawady i czas studiów, etap wrocławski. W końcu czyta nam kilka swoich wierszy. Rozmawiamy o świecie, dążeniu do sensu, zmaganiu się z rzeczywistością. Czesław wyraźnie określa się po stronie światła:

Zawsze uważałem, że jestem po stronie światła, ale nie oddzielony od ciemności. Czyli czułem i czuję, że żyje się w nieustannym zagrożeniu. I ta metaforyczna i realna ciemność jest nieustannie tą rzeczywistością, która ma dostęp do człowieka. W życiu konkretnym nie ma takiego problemu. Są obowiązki. Tutaj jesteśmy, on ma problem, czy jest zboże. Też się martwi, czy zdobędzie z uprawy cokolwiek. Ale to są zmartwienia na poziomie chleba, pieniędzy, pracy, dostatku. Natomiast mówiąc już tylko o problemie światła i nocy, zwłaszcza gdy mówimy o tym w sensie duchowym, artystycznym, dowiadujemy się tego, że człowiek nieustannie się zмага o utrzymanie światła w sobie. Wewnętrzny. Nie po to, żeby iść na pole, zrobić coś. Tylko żeby przy pomocy tego współczucia, pewności cokolwiek stworzyć, napisać. Ja chcę stworzyć świat, w którym zwycięża światło. Chcę zachować to, co się nazywa sensem. To nie jest tylko gra znaczeń, słów. Słowa uczestniczą w zmaganiu z rzeczywistością. Jest wyniesiona ta rzeczywistość na wyższy poziom. Ale rzeczywistość nie znika. Dla mnie to jest bardzo ważne, żeby być po stronie światła i powiedzieć we wszystkim, co piszę, że światło jest ważniejsze od ciemności. Do tego momentu, kiedy się o tym prymacie światła pamięta, do tego momentu twórczość ma sens. Jeśli się od tego odejdzie, to zaczyna się kultywować obsesje. Samo zajmowanie się obsesjami to dekadentyzm. To nie jest to. Każde zajęcie ma swoje uzasadnienie. Czytam różne wiersze, z ciemnościami, patologiami też. Do pewnego momentu coś mnie w nich interesuje. Ale nie umacnia. Wierzę, że światło jest przewodnikiem. Do rzeczy wyższych. Jakie one są? – tego nie wiadomo.

Czas na ludzi. Odwiedzamy między innymi dom kolegi Czesława. Pięknie brzmi wielkopolska gwara. Staram się nasycić tymi wyrazami, sformułowaniami. Zaskakująca gościnność, otwartość. Rozmowa zwyczajna, codzienna. Pan Heniu opowiada o lęku wysokości, może o lęku w ogóle i samotności. Przyglądam się Czesławowi, zachowuje się naturalnie, bez jakiegokolwiek poetyckiej naleciałości. Filozofię światła zostawia na potem. Dopiero w tym momencie mogę sobie go wyobrazić jako dziesięciolatka. Kolega z wioski uwolnił w nim jakiś rodzaj wspomnień, który przeobraża w sposób niemal fizyczny. Jesteśmy też u młodej, miłej kobiety. Został mi w pamięci jasny uśmiech jej małej córeczki.

Odwiedzamy polniemiecki cmentarz. Na pomnikach daty z XIX wieku. Wszystkie groby zniszczone w ten sam sposób – na środku tablicy pęknięcie od uderzenia twardego przedmiotem. Może ktoś chciał unieważnić ich istnienie, wyrwać środek, napis. Na koniec wchodzimy do kościoła w pobliskiej Kopanicy. Światło przedostaje się do wnętrza poprzez kolorowe witraże. Dużo tu zapachu drewna.

Jaromierz powoli wraca na swoje tory. Zostawiamy go w środku tego lasu jak każde dzieciństwo. Czesław jeszcze obraca się kilka razy, ale wie, że nie może tu zostać. Że nie pasuje już do tego świata. Wracamy do Zielonej Góry trochę zmęczeni. Ale to typ zmęczenia przyjemnego. Przytulam Czesława na pożegnanie jakoś dłużej niż zwykle. Tak jakbym chciała przytulić w nim tego dziesięcioletniego chłopca z Jaromierza. I jednocześnie podziękować, że zaufał i zabrał nas w to miejsce, gdzie źródło jego poezji.



Czesław Sobkowiak i Janusz Łastowiecki
(ze zbiorów prywatnych Mirosławy Szott)



Czesław Sobkowiak
(ze zbiorów prywatnych Mirosławy Szott)



Czesław Sobkowiak i Mirosława Szott
(ze zbiorów prywatnych Mirosławy Szott)



Czesław Sobkowiak i Janusz Łastowiecki
(ze zbiorów prywatnych Mirosławy Szott)

Jaromierz kolejny raz

Odzywa się Jaromierz. Jego światło i ciemność. Nic nie minęło. Trwa. Mgliste jesienie, gorące lata. Mrozy, śniegi, sierpniowa woda w kanale sprzyjająca dziecięcym zabawom i kąpielom. Ścierniska wbijające się w bose stopy dzieci. W moje stopy, które w wakacje nie znały obuwia. Podnosiłem głowę, niebem leciały klucze ptaków na zimowiska lub wracały z zimowisk. Gęsi, żurawie i inne skrzydlate stworzenia. Słuchałem tych odgłosów, zwłaszcza szumu skrzydeł i patrzeć aż znikną w oddali. Wszystko to jak szczególny rodzaj snu, który zadziwia i nie daje spokoju. Lecz przecież nie niepokoi, i nie usuwa ziemi spod stóp. Nie. Nie w tym rzecz. Jest coś ważniejszego. Wyświetla się i wyświetla tamta dawność jak terazniejszość. Na przykład: małeńka, sześćioletnia dziewczynka stojąca przy furtce, drobniutka, do której wołam radośnie z daleka na powitanie. Na przykład: mleczarz mocno podchmielony w zimowy dzień śpi na wozie, czapka z głowy osunęła się, a konie same idą do domu, nie kierowane lejcamy, bo dobrze znają drogę do swojej stajni. I złota, duża ryba, karp, z wielką mocą wyskakująca nad powierzchnię wody w stawie też się wyświetla krótkim blaskiem. I wiele innych obrazów można byłoby przywołać. Zadziwiająco to wszystko. Równomiernie, harmonijnie włączają się tchnienia – zapomniane, zatarte, i zarazem gdzieś zapisane w moim ciele i duszy, w podświadomości, gdzie nic im nie zagraża, we śnie, także w pamięci – tchnienia, które zarysowują magiczną przestrzeń. I wiem, gdy o tym myślę, że odpowiada ten krąg, a w nim jeszcze inne kręgi, i inne, tajemne, na moje pragnienia posiadania w sobie jak najwięcej tej jakby znikąd przybywającej pozytywności istnienia, nieba, ziemi, przestrzeni, o której niemal każdego dnia myślę. I chciałbym się nieskończenie nasycać. Niekoniecznie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Samoistnie istnieje we mnie byt Jaromierza. Zagubiony w zdarzeniach mojego życia i w czasie, a odnaleziony pośród cichych łąk, pól i grzybodajnych ściółek, próchnic żywicznych lasów i zagajników. Drzew. Kamieni. Piołunów. Ściśle wszystkimi swoimi ścianami, podwórkami, dachami i urządzeniami w przyrodę wpasowany. Stwarza się i odnawia w rytmie pór roku. Świadek niezastąpiony moich pierwszych doświadczeń, także pierwszych poetyckich zdań, które zjawily się bez uprzedzenia. Teraz, gdy lata przeszły, i paradoksalnie są, myślę o tym więcej niż kiedykolwiek. Tak. Wyznaję. Ciągłe przychodzi do mnie jego pełnia, która tylko tam. Młodość. Niskość i wysokość pomieszczona w jednym kształcie. Jego spokój, jego cisza, horyzonty polne, łąkowe, noce księżycowe, dziewczęce uśmiechy, leśne zagęszczenia, zapachy, widoki wiejskich uliczek, głosy. Kiedyś był to widok ogromnych drewnianych stodół, krytych słomą, do których podczas żniw gospodarze wielkimi, konnymi wozami zwozili siano i ciężkie snopy różnorakiego zboża. Lubilem ich wnętrza. Na szczycie dachów bocianie gniazda. Wiosną oświetlany obficie i intensywnie zapachem bzów, akacji i lip, będących rajem dla pszczół. Był i jest ten Jaromierz bez reszty wypełniony w gospodarskich obejściach pracą. Patrzymy na kra-

jobraz dookoła. Czy elektroniczne oko aparatu potrafi uchwycić to w obrazach, uchwycić ten soczysty dzień sierpnia, czy skupione oczy M. potrafią to uchwycić, i dostrzec magiczne rzeczy, co się we mnie odzywają, sny się odzywają, zmuszają do wewnętrznej rozmowy i są zarazem jako sekret ontologiczny i metafizyczny w każdym metrze i centymetrze kwadratowym, a nawet milimetrze sześciennym, w długości, szerokości i wysokości tego miejsca zawarte. Czy słowa odnajdą sposób na wysłowienie rzeczy i ścieżek. Tam byliśmy, szliśmy, troje nas, w enklawach przyrody mojego dzieciństwa, by doznać jego skarby. Był wielki sierpniowy dzień, lubię takie dni, oparłbym głowę na kolanach, słuchaliśmy muzycznego szelestu traw, ostrych pęknięć patyków pod podeszwami butów, zaglądaliśmy dyskretnie do stawów zaciągniętych gęstą, drobną, zieloną powłoką, pożywną kaczą rzęsą. Jedliśmy smaczne kanapki zrobione przez M., pod wiekowym dębem, który po królewsku stał nad nami. W upale piliśmy wodę „Żywiec” z plastikowych butelek, w pobliżu licznych gęstw różnorodnych krzewów i olch. W zasięgu woni idących od sadu, od kanału, od sterty zwałowanej, poźniwej słomy. Świeciło nam słońce. Wiatr muskał czoła. Włosy. Nasza obecność niechęć wypłoszyła z pobliskich zarośli sarnę. Zerwała się ta sarna z legowiska, z ocienionego miejsca swego dziennego, trawiastego schronienia, pomieszkiwania, i lekko pobiegła. Tam też poruszał się jeź, spod liści ku słońcu wychylała się połyskliwa głowa jaszczurki i niezauważalnie, lecz zwinnie pełzał zaskroniec. Miniaturowy magnetofonik pracował, rejestrował oddechy, słowa, zdania. Westchnienia. Poezję. Czas. Zapach włosów. Milczenie też rejestrował. Nie atakowały nas muchy ani komary. Nikt nie wyświadczał nam żadnej przykrości. Dobrze było na rozłożonym prostokącie kocyka. Dobrze. Zastanawiałem się, od czasu do czasu, bo przychodziło to uparcie do mnie, czy dla M. i J. wejście w ten roślinny świat, w moje miejsca, w przestrzeń, w słyszalną wszędzie ciszę, gdzie słońce, powietrze, obłoki, liście, jest wystarczająco atrakcyjne i należycie się dopełnia. Musiałem mocno w sobie się skupiać i omijać trudne myśli, by nie mieć jakichkolwiek wyrzutów lub kompleksów. By trzymać ten jeden dzień wysoko. W formie. Dla M. trzymać, kiedy będzie pisała. Staralem się więc. Ile mogłem. By nie było go za mało. By uśmiechała się delikatnie. Niepostrzeżenie prawie. Nieśmiało. Każdy więc sygnał, który docierał do mnie, zatrzymywałem, karmiłem się nim, i wzniecałem iskry nadziei, że nie tylko mnie nasyca, nie tylko mnie ta miłość wszechistnienia tu w czysty, szczególny sposób, ale nas razem obejmuje. I ma w sobie niedający się wykreślić ani zanegować walor ważności. Ważna tu jest, była i będzie darń i piach, po którym cicho stąpamy, i idą krowy na pastwisko, i przed wieczorem z pastwiska wracają wolno. Jedzie niekiedy traktor. Terkocze. Słychać jakże ważny, chociaż znikliwy, świergot ptaszka. Ten, co blisko siadł na gałązce i nie ma go już, bo na innej przysiadł. Szczęśliwie. I czarne jaskółki nieustannie w powietrzu, całymi godzinami lecą, kołują, nawet wodę chwytają w locie, tuż nad jej lustro zniżając lot, by otwartymi dziobkami czerpać krople i zaspokajać pragnienie, a potem wysoko znowu lecą, wysoko, niezwykle zmiennie za owadami. Gdyby nie było

jaskółek? Obłoków, niebieskiego nieba? Gdyby nie było... Siedzieliśmy i znowu szliśmy dalej. Szliśmy. I znowu. Krok za krokiem. Jakby ze stronicy na stronicę tej czytanej niespiesznie książki, nad kanał, w miejsce gdzie śluza. Tam było moje sentymtalne, zapamiętane miejsce chłopięcych wędrówek, długich przesiadywań i modlitwy o życie chorego ojca. Śluzy już nie było, co by spiętrzała wodę w razie potrzeby. Tylko występ murowany z cegieł. Zrujnowana śluza, a piękna była to konstrukcja za moich tu lat. Uosobiła się w niej teraz ludzka słabość. Rezygnacja, zapomnienie, brak dbałości, mijanie czasu. Mizerność. Więc nic na stałe. Nic na zawsze. Ruina. Nędzny widok. Godny politowania budynek, podziurawione zadaszenie, skruszałe, połamane deseczki, bałagan. Można to zabrać i wystawić w salonie sztuki współczesnej. Byłoby wydarzenie. Wytrącił mnie z nastroju ten widok. Ale cóż. Nic na stałe. Jednak i on wpisany jest w większą całość istnienia, które niczego nie gubi ostatecznie. Nie bladły kolory. Płynęła woda. Nie wytracała się ważność łąki. Smakował chleb. Woda. Nie przekreślał się szum wiatru ani szelest topoli. Istota topoli cała potrafiła wyrażać się w szeleście. Może zniszczenie też nie bez sensu. Dostarcza człowiekowi odpowiedniej ważności. To wrażenie znowu się pojawiło, i przyszła o nim szybka refleksja, gdy postawiliśmy swe stopy na podwórku gospodarskim mojego kolegi szkolnego Renia. Zobaczyliśmy namacalną ekspozycję trudów i zmagania się człowieka z losem, które nie zawsze jest zwycięskie, a może nawet bardzo rzadko. Lub wcale. Musi pewnie i nieporadność życiowa się zdarzyć. Zaniechanie i gubienie się. Wzbudzające współczucie upadanie na zdrowiu. Musi z kimś być i do kogoś trafić zestaw obowiązkowych bólów i nieszczęść. Reniu, jeden z ostatnich, żyjących moich kolegów. Byłem dumny wobec M. i J. z powodu jego gościnności, z powodu opowiadania o gołębiach, kogucie, jastrzębiu, kaczkach, o swojej pracy w gorzelnii i w polu. On żyje. Bolą go nogi. Samotnie mieszka z matką, staruszką dziewięćdziesięcioletnią, która słabo już pamięta, słabo słyszy, słabo je, siedzi na krześle w kuchni. Patrzy na ceratę. I mało mówi. Inni koledzy poginęli, pomarli. Gryzą ziemię. Edek częściowo sparaliżowany udarem, z trudem da się z nim rozmawiać, choć widać, że bardzo chce mówić. Żał patrzeć i żał myśleć o tym. Reniu potrafi niemal w natchnieniu opowiadać o swoim życiu, zdarzeniach i potknięciach, obawach, przeżytych lękach. Nawet o swoim traktorze i przyczepach. Jakimś wiadrze lub kołku w płocie. Nikt go w tym nie prześcignie. Takim talentem dysponuje, taki jest jego zasób, jego dorobek, jego opowieść, jego racja. W nim cały dramatyzm życia, tak właśnie chcę powiedzieć, dramatyzm, który wyznaczał deszcz, burze, wiatr, mrozy, noce i dnie. Dokłada się nieuchronnie do tej opowieści i biegu życia wiejski mały cmentarzyk z dawnych lat, położony na końcu wioski, ten za żelaznym, pordzewiałym płotem, zupełnie już poniszczony. Lecz trwa. Naciskamy klamkę furtki, uchylamy i wkraczamy na teren śmierci. Tablice sprzed dwustu lat. Robią wrażenie stare daty. A jeszcze większe wrażenie robi okropny wandalizm, bo wszystkie są uszkodzone wyraźnie celowymi uderzeniami. M. robi zdjęcia. To, co tu widać, to też jest ważny

zasób, opowieść, jednak nikt już nie pamięta, kim byli, co robili, gdzie były domy tych, co tam leżą. Pojedynczo i po kilku. Rodzinnie. Za żelaznym ogrodzeniem. Z tablic połamanych, potłuczonych niewiele da się już wyczytać, ale jeszcze coś się da, jednak trawi je i trafia tu niszcząco czas. Zaledwie szelest i proch. Litery. Szarość cementu, rdza, pleśń, mech. Nikt tu nie dysponuje opowieściami sprzed lat. Nikomu o tym rozmyślania. Są ważniejsze, pilne sprawy. Praca, ziemia, pot na czole, urodzaj, dobytek. Krowy. Modlitwa w niedzielę. A ludzkie życie trzeba przejść, i w końcu umrzeć. To nie za duży tutaj problem. Śmierć. Starość. Niedołęstwo. Choroba. Idą po kolei, jedno po drugim. Starzy ludzie mają swój kąt. Tam ich miejsce. W kącie umierają. O poezji z nikim tu nie da się słów kilku zamienić. Żadnej dziwności nikomu nie trzeba. Na cóż metafory i porównania. Pewnie byłyby przeszkodą w codziennych pracach. Nikogo taka rzecz nie zajmuje, nikogo obchodzi. Nie daje chleba. Nie przysposabiała i nie przysposabia do jesiennej orki lub zasiewu zbóż ozimych. I już. A chleb jest na pierwszym miejscu. Na każdym stole. Wyjechałem stąd wystarczająco wcześniej, w dzieciństwie jak chciał los. Dwunastolatek. Z tego opuszczenia, z odległości widzę i mogę o tym świecie coś mówić, dla nich w gruncie rzeczy mówić, o nich, nie dla siebie. Ale nie przebija się to przez żadne myśli ani żadne ściany. Stąd żal. Mówię to M. i J, i oni słuchają chyba z niedowierzaniem, magnetofonik rejestruje. Rejestruje i wie to elektroniczne pudełko, jakie to ważne. Komu to wszystko jest opowiadane. Ta twardość życia. Jeszcze raz Jaromierz, jeszcze jedna podróż do gniazda. Tym dwojgu młodych, wykształconych, uniwersyteckich ludzi, co pewnie już są zmęczeni, lecz idą ze mną kilka godzin, co może Jaromierz dać? Jak się w nich ułoży? Nie teraz, ale kiedyś, za kilka lat. Będą ten dzień pamiętać? Tę nie za dużą wioskę. Gdzie stawialiśmy stopy. Patrzyliśmy, jedliśmy. Wiele razy tu przybywałem. Dlaczego? Pytam samego siebie. Czy chcę odnaleźć świat zostawiony, zgubiony, przestrzeń pierwszych uwzniośleń, moich lewitacji, bycia brany do nieba, mojego budzenia się w nocy, wtajemniczeń w przyrodę, w ciało, w marzenia, w głód, w pragnienia, w tęsknotę. Pytam samego siebie. Jeździłem tu niepoliczalnie wiele razy rowerem, autem, szedłem pieszo. Przenosiłem się w myślach na odległość. Prawie jakbym odbywał odkupiające pielgrzymki. Zobaczyć ciągle ten sam ceglany dom, zaułki rodzinne, dla moich rodziców tymczasowy dom przez kilka lat po powrocie z przymusowych robót, wynajęte na kilka lat pomieszczenia, zabudowania. Kolejny etap życia. Tutaj żyliśmy i trzeba było stąd jechać, bo taka przyszła konieczność, prawie przymus. A mnie potem często wracać w tę magiczną przestrzeń, którą jak żadną inną czułem, tę baśniową, elementarną, senną, pełną dobrej naiwności. Zalśniła, zabrzmiała wieloma głosami, krzykiem, płaczem i śmiechem, śpiewaniem, modlitwami, śmiercią, śniegiem, krwią na śniegu, zapachem końskiego potu, tęczą po deszczu. I nie chce minąć. Daje wychnienie, pokrzepia czymś, jest remedium na samotność, zmęczenie, wydobywa mnie z moich otchłani. Obmywa z zaznanych krzywd. Wydobywa na powierzchnię z obcości świata. Moje wnętrza potwierdza. I ja potwierdzam jej istnie-

nie. Są te spotkania, chwile, te chwile patrzenia sobie w oczy, które koją rany, wynagradzają osobiste braki, niedostatki i upokorzenia. Moje bywanie tutaj, czy to jest szukanie Boga, odnowienia, upewnianie się za każdym razem, że On, Stwórca, tutaj, na łąkowej, inkrustowanej koniczyną lub na polnej drodze, w sąsiedztwie stawów, otoczonych łożą, wierzbami i olchami może mnie ujrzyć, pragnącego Jego bliskości i wybaczenia. Tyle rzeczy naraz, jakby wszystkie sprawy miały się nareszcie rozstrzygnąć. Wyjaśnić. Być prawdziwym natchnieniem. Jakby. Poezja uzasadnić się, piękno potwierdzić, braki wypełnić, sens wyjawić istotę. Miłość bezgranicznie objąć. A to tylko trawy, smugi zapachu, powiewy wiatru, kwiatki drobne, bławatki, kaczeńce, motyle (nie zapomniałem o ich ważności), głosy delikatne, horyzont, krzyż przydrożny, kapliczka, czerwona cegła domów, cegła szkoły, sklepu, szerokie pola, ścierniska, kanał, drzewa, kózki bieluteńkie, pasące się w gromadce jak kiedyś, w tym samym miejscu, krowy na tej samej łące, przyjaźnie podnoszące głowy na widok ludzi. Tylko tyle.

Czesław Sobkowiak